Pogawędka niedzielna

Dziura w płocie

— Dziura w płocie? A cóż to za temat?! — spyta niejeden z czytelników, ujrzawszy tytuł dzisiejszej „pogawędki niedzielnej".

Potem zaś pełen oburzenia albo odłoży gazetę, albo tak będzie ciągnął dalej swe zastrzeżenia:

— Każdy tydzień przynosi nam coś nowego. Włosi tłuką się z Abisynją, Liga Narodów wciąż myśli, żeby się zebrać, ministrowie rozbijają sobie nosy na ślizgawce, rzeczywistość wywala dziury w istniejącym układzie międzynarodowym i w planach Roosevelta, a ja mam czytać o dziurze w płocie! Jeszcze o kiwaniu palcem w bucie czyli o obradach sejmowych, tobym rozumiał, ale o dziurze w płocie? Nie chcę!

Powoli, powoli, Szanowny Czytelniku! Przyznaję, pełen skruchy, że rzeczywistość wzięła sobie za dewizę hasło futurystów: „Prędzej!" i spieszy do niewiadomej przyszłości z szybkością kilku set węzłów na godzinę... Przyznaję również, że powinienem pisać coś o polityce i sytuacji bieżącej... Ale cóż? Nie jestem politykiem. Orjentuję się jako tako w wielkich prądach ideowych i historycznych procesach doby współczesnej, lecz nie śledzę posunięć politycznych z dnia na dzień, nie poświęcam polityce każdej wolnej chwili i każdej myśli.

Może to dobrze, może źle, ale tak jest. Wyobraźcie sobie nawet, że o obradach sejmu dowiedziałem się zupełnie przypadkowo. Podzielając żywe zainteresowanie naszego ogółu dla pracy ciał ustawodawczych, nigdybym wogóle nie uwierzył, że sejm obraduje, gdybym nie wyczytał o tem czarno na białem w gazecie. Nawet w dwóch gazetach, bo podejrzewając, że w jednej wiadomość o obradach jest poprostu dużą pomyłką druku, ku piłem drugą. Wyczytawszy w niej jota w jotę to samo, uwierzyłem. Na dodatek pewien mój przyjaciel dał mi słowo honoru, że to prawda. Zresztą do tej pory dobrze nie wiem, czy obrady toczyły się na plenum, czy na komisjach, czy może jeszcze inaczej?... Czytelników, którzy się w tem orjentują, uprzejmie proszę, żeby mi dali znać listownie na adres redakcji ABC, jak to tam było. Ze swej strony poproszę redaktora, aby odpowiedzi przesłał do mego mieszkania.

Nie zaprzątając sobie głowy wyłącznie polityką, lubię myśleć o najrozmaitszych tematach, choćby właśnie o... dziurze w płocie. Zagadnienie to wiąże się zresztą z kiwaniem palcem w bucie, jak to za chwilę cierpliwy czytelnik zauważy.

Z tą dziurą było tak. Kilka dni podczas ostatnich feryj spędziłem w pięknej miejscowości pod Warszawą. Dom, w którym zamieszkałem, mieści się we wspaniałym parku o starych, rozrosłych drzewach. Specjalnie piękną aleję tworzą kasztany — wielkie, wysmukłe, jak jakieś wieżyczki czy stożki. Bezlistne, szare, suche o tej porze stoją jak wyprostowane szeregi olbrzymów...

Cały park obwiedziony jest płotem i posiada trzy bramy. Najwygodniej dostać się z parku do miasteczka bramą, ktra znajduje się u wylotu alei kasztanowej. Niestety, brama ta stale jest zamknięta na klucz i wisi na niej ogłoszenie następującej treści:

„Przejście do miasta przez bramę górną".

Kiedym pierwszy raz przeczytał surowe ogłoszenie, dygowałem kilkaset kroków pod górę i sapiąc trochę ze zmęczenia, a trochę z zadowolenia, że się zastosowałem do rozporządzeń — wkroczyłem do miasteczka przez przepisową bramę.

Nazajutrz maszerowałem aleją ze znajomym inżynierem.

— Pójdziemy na miasto? — spytał.

— Z przyjemnością! — odrzekłem i skręciłem z alei pod górę.

— Czemu pan skręca?

— Bo ta brama zamknięta.

— To nic, przecież jest dziura w płocie. Wszyscy tamtędy chodzą. Zupełnie wygodnie... Trzeba tylko nieco się schylić. Mając chore serce, wolę taki pokłon, niż windowanie się pod górę.

Od tej pory chodziłem zawsze przez dziurę w płocie, naśladując pod tym względem zarówno przyjezdnych jak autochtonów. Przez tę dziurę chodzili bowiem wszyscy: owocarze, którym wogóle wstęp do parku był surowo wzbroniony: litwaczka, co fotografowała zimowych letników; dyrektor, z którego rozkazu wisiała tabliczka o groźnym zakazie i t. d. i t. d.

Przypadek sprawił, że wpobliżu rzeczonej dziury czytałem jakąś korespondencję z Niemiec. Autor dla charakterystyki naszego zachodniego sąsiada przytoczył następujący obrazek... Dworzec w Berlinie. Z niezrozumiałych przyczyn spóźniają się z podstawieniem pociągu, dążącego ze stolicy Niemiec, gdzieś na zachód. Tłum niecierpliwi się, szemrze, faluje... Naraz w oddali widać lokomotywę. Zbliża się powoli i majestatycznie. Oczekujący chwytają walizki i sprężają się. Pociąg powolutku zajeżdża. Tłum napiera... Za chwilę rzuci się do drzwi wagonów. Wtem nadkonduktor, stojący na stopniu wagonu, przeraźliwie gwiżdże i woła:

— Wejście podczas ruchu wzbronione!!

Tłum zadykotał, cofnął się wstecz i zamarł w oczekiwaniu... Pociąg przystanął.

— Wsiadać powoli! — rozkazuje nadkonduktor.

Podróżni wchodzą bez pośpiechu jeden za drugim i spokojnie zajmują miejsca w przedziałach.

Korespondencja kończyła się opisem zadowolonej miny konduktora.

— Aha, już wiemy, do czego pan zmierza! — powiedzą teraz niektórzy czytelnicy. — Znów kilka komplementów pod adresem Niemców, a nam morały, że się nie trzymamy przepisów.

Odpowiem na to: i tak i nie! Oczywiście publiczność niemiecka w opisanym powyżej wypadku w pełni zasłużyła sobie na komplementy, więc je niniejszem składam... Co zaś do morałów na temat naszej niekarności, to kwestja wymaga omówienia.

Przedewszystkiem, gdybym stał na peronie w Warszawie, czekając na podstawienie pociągu do Zakopanego i ujrzał go wreszcie, pędziłbym wraz z innymi, nie zważając na żadne gwizdy konduktora, tłoczył się, wymyślał, krzyczał, pchał i łapał nagwałt miejsce. Czyniłbym to poprostu dlatego, że inaczej musiałbym zostać na dworcu w towarzystwie pięknych myśli o Zakopanem, albo wdrapać się na wagon i śmigać na dachu aż do miejsca przeznaczenia.

Łatwo niemieckiemu konduktorowi wołać: „Nie wsiadać!'", łatwo tłumowi zastosować się do wezwania, bo obie strony wiedzą, że w pociągu starczy miejsc dla wszystkich. Inaczej wygląda cała ta sprawa w Polsce, gdzie na taką drobnostkę, jak wygoda publiczności nie zwraca się zupełnie uwagi.

Wracając do głównego bohatera niniejszej pogawędki, t. j. do dziury w płocie, wypada stwierdzić, że i tu nie brano pod uwagę potrzeb ogółu, a wydano sobie przepis — ot, tak... z niewiadomej przyczyny, nic więc dziwnego, że nikt go nie słuchał. W większości bowiem wypadków łamaniu przepisu winien nie ogół, lecz sam przepis. Jeżeliby zatem ktoś chciał przyzwyczaić do poszanowania prawa mieszkańców miejscowości szczycącej się olbrzymią dziurą w płocie — powinien poprostu odemknąć raz na zawsze wygodną bramę, a płot pięknie załatać.

Polskę zalała nieprzebrana ilość rozporządzeń, ustaw, przepisów. Gdyby się jakiś gorliwiec chciał w nich zorjentować, wysechłby między urzędowemi księgami na płatek niewinnej róży, po czem umarł z nadmiaru wiedzy. Waliła na głowy obywateli przepisy ponura twórczość przedmajowa i radosna twórczość pomajowa i to w takich porcjach, że teraz ma się połowę tego wszystkiego znieść. Nareszcie! Na pierwszy ogień powinny pójść przepisy nie życiowe.

Pamiętam, że za moich młodzieńczych lat najwięcej pijanych spotykało się w sobotę i w niedzielę, dlatego, że w oba te dni nie wolno było... wogóle pić. Jaki taki amator krzepkich napojów szedł sobie do restauracji, przysiadał skromniutko przy stoliku, wołał kelnera, poczem wywiązywała się taka rozmowa:

— Proszę kieliszek czystej.

— Kiedy dziś nie wolno.

— To trzeba prędko!

Po tych sakramentalnych słowach kelner znikał na pewien czas, poczem wyłaniał się z czeluści bufetu, podając zawiniętą w serwetę szklanicę lub filiżankę wódy. Gość golił jednym haustem, a naczynie wędrowało znów w białe objęcia serwetki... W sobotę i niedzielę żłopali wszyscy! Całe miasta wędrowały w przekrzywionych melonikach, całe tłumy bełkotały pijacko, całe falangi ryczały w najbardziej bachiczne melodje, ale przepis istniał. Wreszcie ktoś się ulitował i zniósł go.

Pięknieby to było, żeby wszystkie nieżyciowe zakazy i nakazy znikły podobnie, jak tamten wódczano - niedzielno - sobotni. Możebyśmy nabrali wtedy szacunku dla przepisów i nie łamali ich.

Może!... Mam jednak wrażenie, że są to piękne marzenia feljetonisty. Pesymizm swój opieram na tem, że w Polsce wielu osobom wprost nie wypada stosować się do norm obowiązujących. Któż to widział, aby mąż na odpowiedniem stanowisku lub tylko z odpowiedniemi plecami zachowywał się w urzędzie, jak zwykły śmiertelnik? Nie wypada!

Albo sprawa ortografji. Radzą nad nią obie nasze Akademje, ale w gruncie rzeczy któż się trzyma jej prawidłowo? W prasie najwyżej przeklęte endeki! Inni nie... W dziennikach sanacyjnych ortografja zależy — mam wrażenie — od nastawienia polityczno - społecznego redaktorów. A więc „Kurjer Poranny" — jako lewicujący — nigdy nie traci nadziei, że warstwy pracujące dojdą do głosu z kolei. „IKC" — tradycjonalista — wciąż jeszcze w tytule jest „Kury-erem". (tłumaczył się zresztą kiedyś z tego, więc mu przebaczamy). „Gazeta Polska", jako organ pół-urzędowy, wyższa jest ponad takie drobnostki jak ortografja. Nie wypada jej poprostu uznawać przepisów jakichciś uczonych, więc stale nazwy narodów pisze z małej litery. Kiedy pierwszy raz przeczytałem słowo Czesi przez małe c — myślałem, że to względy polityczne tak skróciły naszych pobratymców, kiedy jednak najświeższy nasz bratanek Niemiec wyjrzał ku mnie ze szpalt gazety z przykusem n, t. j, jako niemiec — zrozumiałem, że redakcja nie chce się trzymać prawideł. Złośliwym plotkom, że nie umieją tam pisać, oczywiście nie uwierzyłem. Przecież w razie czego możnaby stworzyć dla korektorów mały komplecik z wykładami Kadena na temat: „Jak nie należy pisać". Mistrz mógłby przy sposobności przeczytać ze dwa rozdziały „Bigdy" dla odstręczenia współpracowników od złej prozy.

W urzędach państwowych również koso patrzą na ortografję. Na głównej poczcie wisi nad jednem z okienek tabliczka z napisem: „Biuro informacji". Znaczy to, że biuro udziela tylko jednej informacji na dzień, czy jednej informacji poszczególnym osobom. Bo że nie udziela wielu informacyj — to jasne.

Powie ktoś, że są to rzeczy drobne i nieistotne. Nie, proszę panów! To jest najzwyklejszy skandal, żeby w niepodległem państwie urzędy państwowe i urzędowe gazety nie trzymały się urzędowej pisowni. Jeśli jest prawo, norma — to tylko poto, żeby go słuchać. Zwłaszcza w narodzie, który w czasach dawnej Rzplitej za punkt honoru poczytywał sobie pomiatać prawem, który w niewoli pogardzał niem jako nie swojem, który obecnie deklamuje wciąż o praworządności, a nie dopilnuje nawet korektora, aby pisał bez błędnie!

— — — — — —

P. S. A z memi wiadomościami o Sejmie nie jest tak źle. Dziś już wiem. Przeczytałem wszystkie mowy. Ciekawe.

Jan Waśniewski.

Z muzyki

Koncert symfoniczny

Czwarta symfonja Witolda Maliszewskiego, od której rozpoczął się ubiegły piątkowy koncert symfoniczny, była już wykonywaną w Warszawie i jest znaną i należycie cenioną przez muzykalną publiczność. Jest ona ofiarowaną „Odrodzonej i odnalezionej Ojczyźnie" i, choć nie zawiera określonego programu, ma jednak niewątpliwy podkład ideowy, którego punkt kulminacyjny znajduje się w niestylizowanym hymnie narodowym. Dzieło to należy do starszego już stylu i jest owocem solidnej i poważnej wiedzy kompozytorskiej.

Solistą wieczoru był nieznany dotychczas w Polsce pianista Rudolf Serkin, głośny już szeroko zagranicą. Jest on artystą dużej miary, posiadającym szereg wybitnych zalet, stawiających go odrazu w pierwszym rzędzie najpoważniejszych nazwisk odtwórców. Miękkie uderzenia i przyjemny ton Serkina mają nieodparty urok młodzieńczego żaru, który pozwala mu stare i znane oddawna dzieła przetwarzać jakby w nowe, przebierając je w zupełnie nowoczesne szaty. To oryginalne, nawskroś współczesne podejście do klasyków jest znamienną cechą gry Serkina, które interesuje pozatem doskonałym wyrobieniem technicznem (obu rąk, świetna lewa ręka!) błyskotliwością, dużym temperamentem i ogromnym bogactwem barw. Wybitny zmysł kolorystyczny pozwolił Serkinowi osiągać w Sonacie Waldsteinowskiej Beethovena interesujące efekty dynamiczno - instrumentalne, zbliżone do brzmień orkiestrowych. Koncertowi G-moll Mendelssohna nadał Serkin piętno zupełnie nowoczesne, oraz tempo znacznie szybsze od utartych, w przeciwieństwie do finału sonaty beethovenowskiej, którą wykonał w wolniejszym, niż to się przyjęło tempie. Na „bis" odegrał Serkin Impromptu Schuberta i Etiudę Chopina wzbudzając ogromny entuzjazm na sali.

Dyrygował koncertem W. Bierdjajew, kończąc program Rapsodją hiszpańską Ravela, jednym z najpiękniejszych i nasubtelniejszych arcydzieł wielkiego mistrza. Wykonanie nie było na poziomie i utwór nie brzmiał należycie. Nie powinno się dyrygować muzyką, której się nie rozumie i której piękna się nie odczuwa.

Michał Kondracki.

Eteryczny kontakt Polski

z Azją, Australją i Ameryką

W ciągu dwu ostatnich miesięcy ubiegłego roku, do Warszawy napłynęło kilkaset listów — mówiąc bez przesady — z czterech krańców świata: z Kanady, Palestyny i Australji tudzież z Brazylji, Argentyny i Mandżukuo na Dalekim Wschodzie. Patrząc na mapę świata, zastanowią nas z pewnością te cztery krańce, układające się w dwie linje złożone jakby w kształcie poziomej litery „X". Ponieważ punktem przecięcia tych linij jest Warszawa — tu więc dzieje się coś, co ludzi, oddalonych od nas o tysiące kilometrów, szczególnie mocno zainteresowało. Listy, o których mówimy, pochodzą od ludzi różnych narodowości, aczkolwiek przeważają w nich listy pisane po polsku, choć często już jest to „polszczyzna cudzoziemska". Wszystkie te listy adresowane są do Polskiego Radja w Warszawie, albowiem piszącym chodzi o program radjowy nadawany przez krótkofalową stację radjową w Babicach.

Zagranica wystawiła bardzo dobrą ocenę naszej krótkofalówce. Z tego, co piszą radjosłuchacze, a co potwierdza taka instytucja, jak Klub Krótkofalowców w Chicago (Chicago Shorte — Wave Club), wynika, że współczynnik dobrego odbioru stacji w Babicach na szerokim świecie wynosi 1/3, a więc, teoretycznie biorąc, na trzy godziny naszego nadawania z Babic, dobry odbiór na szerokim świecie wynosi godzinę.

Z plastyki

Kłopoty na wystawie

Wiemy dobrze, że niektóre obrazy maluje się dziś tak, jakby były przeznaczone tylko dla specjalistów. Ale częstuje się nimi wszystkich, pokazując je na wystawach. Z architekturą często bywa odwrotnie: przeznaczona jest przecież dla wszystkich, a interesują się nią — tak, prawdę mówiąc tylko specjaliści. Przyszło mi to na myśl, gdym zwiedzał wystawę projektów, nadesłanych na konkurs rozwiązania przyszłej reprezentacyjnej dzielnicy w Warszawie, z kościołem Opatrzności i Aleją Marszałka Piłsudskiego, jako głównemi akcentami. O tym konkursie pisało już ABC i czytelnicy wiedzą, że nie przyniósł rezultatów zupełnie zadawających. Zresztą samo zadanie jest bardzo trudne.

Pomijając kwestje, które mój kolega redakcyjny zreferował już czytelnikom w innym dziale, pragnąłbym dziś poruszyć pewne zagadnienia z tą sprawą związane. Aby wyjaśnić, o co mi chodzi, najlepiej będzie, gdy opowiem, jakich wrażeń sam doznałem, zwiedzając wystawę. Wystawa, zorganizowana przez SARP (Stowarzyszenie Architektów Rzeczypospolitej Polskiej) jest trochę zakonspirowana: jeśli się już wie, że mieści się w Muzeum Narodowem, trzeba jeszcze pytać woźnych na miejscu, o drogę do niej.

Na wystawie, gdy wszedłem, było osób niewiele, sami architekci (zaraz zrozumiecie dlaczego). Ściany od góry do dołu pokryte mnóstwem projektów, wykresów, planów. Gdy pomyślałem sobie, że za chwilę sam muszę się rzucić na łeb, na szyję, w morze tych planów — strach mnie poprostu ogarnął i chciałem zwiać. Nie wypadało jednak, a przytem obowiązki recenzenta... Na szczęście uratował mnie woźny, który przyszedł niebawem ze zbawczem: „zamykamy proszę państwa".

I oto macie charakterystyczne zjawisko, wystawy bardzo interesującej, a zarazem niesłychanie trudnej do zorjentowania się w jej walorach. Być może, że architekci urządzili ten pokaz dla siebie, w takim wypadku sposób podania rzeczy byłby w całkowitym porządku. Pewne znaki każą jednak przypuszczać, że tak nie jest, że organizatorzy wystawy pragnęli jej wynikami, oraz treścią, zainteresować (i słusznie) opinję publiczną, obywatela, który po teraz projektowanych ulicach, kiedyś będzie chodził.

Pod pewnym względem architekci, w pokazywaniu planów takich imprez konkursowych, są bardzo skrupulatni. Możemy oglądać na wystawie protokuły wszystkich posiedzeń jury, zapoznać się z procederem jego orzeczeń, odczytać umotywowanie każdego sądu. Jednem słowem, każdy niewierny Tomasz ma okazję sprawdzić, że żadnego „kantu, pucu, czyli też nawalanki" nie było. Ale nietylko to: decyzje jury i obszerne motywacje tych decyzyj wprowadzają pierwszy element pedagogiczny, pierwsze ziarno, strawne dla publiczności. Ocena nagrodzonych, lub odrzuconych projektów, uzasadniona rzeczowemi argumentami jest niewątpliwie cenną pomocą dla widza, w czasie oglądania rozwieszonych rysunków.

Idźmy dalej: przy każdej z nagrodzonych prac wisi krótka, sporządzona przez sąd konkursowy, charakterystyka. Ślicznie. Dziękujemy i za to. W tych charakterystykach, obok wyliczenia rozmaitych zalet nagrodzonych dzieł, znajdujemy również, przy wskazywaniu wad, bardzo często następujące słowa: niewłaściwe, nieprawidłowe, błędne... Co to znaczy? Architektura jest matką wszelkich sztuk, a sztuka takich określeń nie zna. O sztuce mówimy: brzydkie, ładne, nudne, interesujące, piękne, ale nigdy — „nieprawidłowe". Tu już mamy do czynienia nietylko ze sztuką, ale z rozległą i skomplikowaną wiedzą — urbanistyką. Bo dla wiedzy nieprawidłowym wynikiem będzie zawsze pięć, uzyskane z pomnożenia dwójki przez dwójkę, a w sztuce 2 × 2 to raz może być 5, a drugi raz 3.

W takiem oświetleniu słowa: nieprawidłowy, błędny, nabierają właściwej treści, ale na tem też kończy się pomoc, udzielana przez organizatorów wystawy, zwiedzającej ją publiczności. Dalej jesteśmy jak łabaka w rogu. Czytam np. w charakterystyce jednego z nagrodzonych projektów: „rozmieszczenie zieleni niewłaściwe". Oczywiście odrazu patrzę na projekt, żeby sprawdzić, czy naprawdę jest niewłaściwe? A licho go tam wie — właściwe, czy niewłaściwe; po czem niby mam poznać błąd, jeśli sam autor również nie wiedział, że nieprawidłowo rozmieszcza zadrzewienie. Tu nie chodzi o kontrolę orzeczenia sędziowskiego, można sędziom wierzyć, ale człowiek wtenczas się uczy najlepiej, gdy słuszność podanego mu twierdzenia sam ma możność sprawdzić. Gdyby sędziowie, którzy niewątpliwie wiele żmudnej pracy włożyli w rozpatrzenie skomplikowanego materjału konkursowego, zechcieli jeszcze do omawianych charakterystyk dodawać wytłumaczenia: niewłaściwe — dlatego, a dlatego, nieprawidłowe — z tych, a tych względów, jakaż to byłaby owocna w skutki pomoc dla zwiedzającego!

Dzisiaj, gdy graficy, przy pomocy pomysłowych tablic i wykresów potrafią nam uzmysłowić niejedno zagadnienie, warto, by i architekci użyli podobnej broni, dla popularyzacji zagadnień architektury. Czy nie można było np., jeśli chodzi o omawianą wystawę, wybrać z tego skomplikowanego zadania rozwiązującego plan całej dzielnicy, jakiś odcinek i pokazać go poglądowo, w klasycznie złem i dobrem rozwiązaniu. Plany są dobre dla fachowców, którzy posiadając wyrobioną wyobraźnię architektoniczną, na podstawie planu skonstruują sobie w umyśle plastyczny obraz przyszłej dzielnicy. Ale inteligent — laik, jeśli nawet odczyta plan, z jego pisma nie potrafi ukształtować w swej wyobraźni wizerunku dostatecznie plastycznego. Skutkiem tego różnice wartości dwóch odrębnych projektów — nigdy nie zarysują się przed nim dobitnie, jakby to miało miejsce, gdyby widział te same projekty, chociażby w szkicach perspektywicznych. Równie pomocną mogłaby się okazać fotografja z lotu ptaka tej części miasta w stanie obecnym, z rysunkowem na niej zaznaczeniem projektowanych zmian.

Oczywiście, o te wszystkie dodatki, ułatwiające publiczności orjentację w materjale wystawowym, musieliby zadbać już nie sami wystawcy, a stowarzyszenie organizujące wystawy, w porozumieniu z sądem konkursowym. Być może, iż dla wielu osób dziedzina architektury jest zgoła obojętna, ale tym, którzy mogą się nią zainteresować, trzeba dostęp do jej spraw ułatwić. Zyska na tem kultura plastyczna ogółu, architekci także nie stracą.

Wiktor Podoski